



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: wortalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek.

KSIEŻNA MARYA GALLIERA.

Jeżeli „młodość to rzeźbiarka, co wykuwa żywot cały” śmierć jest wykończeniem tego kształtu, który się osobistością ludzką nazywa. Śmierć kładzie na życiu pieczęć, która je cechuje i dla tego całe Chrześcijaństwo modli się do Boga o śmierć dobrą. Jest to ostatni akt życia, i pamięć o człowieku opierać się na nim powinna. Duch odchodzący w zaświat objawia się ludziom szczerze — skończył już ze wszystkimi względami ziemskimi, które kępować go mogły, i wiemy teraz co kochał, co cenił najwyżej, na czem spoczęła troskliwie myśl jego ostatnia, gdy życie rzucający obejrzał się na to życie. Zmarła niedawno, bo w końcu ubiegłego roku (9 Grudnia) księżna Marya Galliera, wielka pani włoska, stała się naraz głośną w całym europejskim świecie przez wielki akt dobroczynności, przez zapisanie ogromnej swej fortuny, głównie na cele miłosierdzia.

Miała syna, ale syn ten — dziedzic milicjów, miliony te odrzucił i oddał je też prawie w całości ubogim i cierpiącym, dzieląc to pomiędzy dwa kraje: Włochy, ojczyznę swoją, i Francją, ukochaną gorącym uczuciem wdzięczności za to, że była Włoch dobrodziejką, że odwaliła im z piersi kamień grobowy. Dziś wielu Włochów nie pamięta o tam, dziś Crispi klóci się z Francją o cła, o politykę taką, lub inną; ale ona pamiętała i kochała, mówiła o tem głośno i chciała się wywdzięczyć, jak mogła, ludowi francuzkiemu za to, co jej przyszło za jego pomocą.

Urodzona w Piemontie 1815 r., ze starożytnego rodu margrabiów Brignole-Sale, z którego

pochodził Ś-ty Franciszek Salezjusz, wzrosła wśród otoczenia zajmującego się sprawami kraju swego, bo ojciec jej należał do czynnej dyplomacji dworu sardyńskiego, który najwierniej prze-



Księżna Marya Galliera.

chował pamięć włoskiej ojczyzny. Za panowania Karola Alberta posłował on w Paryżu, w Londynie, odznaczając się przytem, jako człowiek kochający nauki i sztuki — przechowujący te tra-

dycje wyższej szlachty włoskiej, która wydawała krajowi Mecenassów, czyniąc domy, salony swoje ogniskiem życia umysłowego, sztuki i oświaty narodowej. Wśród takich wpływów kształciła się młoda panna i odpowiednio do tego rozwinięła się potem kobieta, której małżeństwo z inżynierem i wielkim przedsiębiorcą kolejowym La Renotiere de Ferrari, następnie przez nadanie papieżkie rzymskim księciem Galliera, dało w ręce majątek ogromny.

Używała go zawsze dostojnie. Jeżeli nie klasycznie piękna, to bardzo ładna, żywa, pełna zapału dla rzeczy, które ją pociągały ku sobie, nigdy nie zasłynęła zbyt kłami na ofiarę Molocha światowego, — strojnictwem, balowaniem wesolem. Przenosząc w dom męża ducha rodzinnego swego ogniska, zasłynęła w Paryżu jako inteligentna kobieta, umiejąca gromadzić wkoło siebie ludzi wyższej myśli i zasługi społecznej: myślicieli, literatów, artystów, i czyniąc bliższem towarzystwem swoim takie osobistości, jak Thiers, Barthélemy Saint-Hilaire, książę Broglie, Mignet, którzy tworzyli kółko, przyjmowane na poufalej stopie przyjaźni domu, dowodziła, że umysł jej był poważny, dążący interessem gdzieś wyżej, niż płoche użycie i zbytek bezmyślny, jakkolwiek używała fortuny swojej popańsku, i możnaby powiedzieć: według wzoru z czasów medycejskich. Wspaniała pałac na przedmieściu Saint-Germain z parkiem ogromnym, jedna z największych rezydencji magnackich, będąca niegdyś własnością jednego z synów Ludwika Filipa: księcia Montpensier, pozwalała na życie w wielkim stylu, choć przebywanie w Paryżu, nie miało tego za cel jedyne. Przy wielkich operacjach kolejowych, które nie ograniczały się do Włoch tylko — do dróg lombardzkich, ale rozwijały się i na gruncie francuzkim, mąż potrzebował mieć dwie rezydencje: we Włoszech — w Genui, i we Francji — w Paryżu, gdyż on-to budował wielką linią, która połączyła stolicę Francji

z Morzem Śródziemnym, przynosząc mu miliony zysku.

Ona była w swoim prawie, używając tych zarobionych przez niego pieniędzy, a to już stawało się zasługą, że używanie nie było lekkomyślnem i małouduszmem. W Genui posiadano też przepiękną siedzibę: „Palazzo Rosso“ wielki gmach cały z różowego marmuru, oceniony na 6 milionów lirów, mieszczący skarby sztuki i starożytności włoskich, a który potem stał się przez testament księżny własnością miasta — rodzinnego miejsca jej męża, któremu już poprzednio uczynił on sam dar ogromny. Genua jest miastem od wieków handlowym, ale przy nowoczesnym ruchu interesów, przy statkach parowych, port posiadany stawał się już za ciasnym: książę przeto dał trzydzieści milionów lirów, aby zbudowano nowy; ogromna, według wszelkich wymagań nowoczesnych urządzona przystań, *Porto Nuovo*, jest darem jego patriotycznej szczodroliwości. Maluje to człowieka i nasuwa zarazem myśl, że i wpływ jego mógł coś dolożyć do szlachetnego wyrobienia się uczuć żony. Był on też synem szczęśliwej epoki, (urodził się w 1808 r., umarł w 1876 r.), szczęśliwego pokolenia, które piastowało w łonie swoim wielką ideę i wydało wielki czyn: odrodzenie Włoch nowożytnych. W takich czasach wszyscy ludzie szlachetniejszej natury żyją natchnieniem górnem i wyrabiają sobie polot ducha, który czyni, że nie są jedynie zjadaczami chleba i nie karmią się samym chlebem tylko. Można by też ze względu na podniosłość osobistości męża nazwać żonę kobietą szczęśliwą, gdyby to właśnie nie szło na rachunek jej własnej zasługi, że mąż ów był takim.

Takiego wybrała: do takiego skłoniło się jej serce, takiego uczyniła towarzyszem swego życia i współnikiem losu. Niech nikt mi nie mówi, że „człowiek proponuje, a Bóg dysponuje,“ bo Bóg, dając człowiekowi wolę i rozum, dał mu moc rozrządzenia życiem i drogami jego. Mamy drogę tych wybór wolny. Czy zaś sąd nasz nie zdołał się podnieść do odpowiedniej wysokości, aby wiedzieć: gdzie jest strona życia prawa, lub lewa, czy też poświęciliśmy rzeczy droższe i ważniejsze dla lichszych i ceny niższej — podstawowe warunki godności i szczęścia ludzkiego, oddaliśmy za liczmaną próżności i maluczki widok świata? — to już nasza własna wola i... własna wina! Jak to czasem kobiety idą za mąż, nie już dla chleba nawet, lecz dla małości pojęć swoich o miłości i człowieku! Ale kwestya to długa, nie dająca się zawrzeć w kilku wyrazach nawiasem wtrąconym — „stara historia, która wciąż się ponawia, a komu się przydarzy, to mu serce zakrawia.“ Odnośnie do życia księżny Galliera przypuścić można, sądząc z postępów całego życia, że był to wybór dokonany na podstawie powinowactwa duchowego: zgodności uczuć i myśli. Nie straciła też, ale zarobiła sobie przez małżeństwo na szersze i szczęśliwe istnienie między ludźmi.

To przecież trzeba już zaliczyć na rachunek szczęścia, że margrabianka de Brignole-Sale była córką rodziny ucziwej: że miała rozumnego, podniośle myślącego ojca, miała szlachetne tradycje rodzinne, a w szeregu przodków Świętego, który był wśród świętych cnót swoich głębokim umysłem filozofa chrześcijańskiego — był przedewszystkiem człowiekiem uczuć gorących i poświęcenia dóbr ziemskich dla idei, dla ideału doskonałości duchowej. Ale i to nie przesądzało jeszcze o kierunku jej życia: mogła była nie wziąć tego do serca, w głąb duszy — mogła była, jak mnóstwo innych córek rodów starych, z wielkimi, bohaterскими przodkami poza sobą, przedstawić istotę ludzką nie według miary Fidyasza, ale — Wortha!

Na szczęście tak się nie stało: ucziwa, wierna obowiązkom swoim kobieta żyła z mężem dobrze i zgodnie do dni starości, bo owdowiała na dwaście lat przed śmiercią, więc już w 61-ym roku życia, i od tej pory odsunęła się od świata, żyjąc całą w dobrych uczynkach, świadcząc ludziom dobrodziejstwa, wnosząc instytucje miłosierne z niesłychaną u osoby prywatnej szczodrością. Majątek, z którego czerpała, był wprawdzie ogromny, bo po śmierci męża dostała do rąk gotówką, dobrze się prezentującą, 220 milionów frank., oprócz wspaniałych pałaców w Genui i Paryżu i posiadłości wiejskich w Liguryi; ale też i szafowała peł-

ną ręką, a jak święcie, jak rozumnie! Kto chce poznać imponującą całość jej darów, niech przeczyta wielce zajmujące i z innych względów dzieło francuzkiego pisarza i akademika: Maxyma du Camp: „Paris bienfaisant—1888 r.“ Tam znajdzie długą listę fundacyi dobroczynnych tej świętej kobiety, spośród których najważniejsze ofiary są:

Na założenie Muzeum Galliera w pobliżu pałacu Trocadero, mieszczące dzieła sztuki, 5 milionów fr. Na wzniesienie w Meudon (pod Paryżem) domu sierot z miejscem na 300 dzieci, od 7 do 14 roku życia, oraz domu starców na osób 100, 14 milionów fr. Na zarząd i utrzymanie tych dwóch zakładów 10 milion. fr.; na dom dla robotników 2 miliony fr.; na szpital w Clamart 11 milionów franków.

To otrzymał Paryż, a z kolei następuje Genua. Rodzinne miasto jej męża i zarazem gniazdo jej rodu, dostało *Różowy Pałac* z bogatą galerią dzieł sztuki włoskiej, oceniony na 6 milionów lirów, oraz 7 milionów lirów w gotówce, na wzniesienie dwóch szpitali; 25 milionów lirów, na wybudowanie nowego, czy rozszerzenie starego portu. Do wspaniałych jej darów zaliczyć jeszcze trzeba 1 milion lirów w złocie, dany przez nią Papieżowi Piusowi IX-u w chwili wielkich potrzeb ojczyzny włoskiej.

Prócz tego zapisała całej swojej służbie, jaka przebywała u niej obecnie, sześciomiesięczną pensyą; dawna służba nie została też zapomnianą i testament mieści długą listę legatów dla zasłużonych domowników rodziny.

Spadkobierczynią ogólną i wykonawczynią rozporządzeń testamentowych naznaczoną została cesarzowa Fryderykowa. Zmarła poznała ją we Włoszech, podczas choroby Fryderyka III i pobytu jego w San Remo. Ona mieszkała w pobliżu, w Voltri, i zawiązała się wtedy między dwiema szlachetnymi kobietami taka zażyłość przyjazna, że następnie cesarzowa zaprosiła ją do Potsdamu, a teraz przysłała jej wieniec na trumnę, który złożyła tam w jej imieniu ambasadorowa niemiecka w Paryżu, hr. Marya Münster. To, co poza wyplatą legatów może pozostać dla spadkobierczyni, nie przedstawia summy dość znacznej, aby mogła być darem dla ukoronowanej pani, ale umierająca pragnęła powierzyć wykonanie swej woli osobie, przedstawiającej nietylko ucziwość samą, ale i tklive, a zarazem sumienne zainteresowanie się instytucjami, o których fundacyą tu chodziło, i użyła tej formy prawnej, chcąc mieć w dostojnej swej przyjaciółce zastępczynią i następczynią dla dzieł miłosierdzia, które wznosiła.

Pozostawał jeszcze syn, kochany przez matkę miłością najtkliwszą, ale obok sędziwej matki nie mieszkał i stworzył sobie warunki istnienia własne, nieodpowiadające dziedzicowi milionów, które ojciec zostawił mu — bez plamy przecież, bez skazy na nazwisku. Wiedział to — wiedział, że ów ojciec pracował ucziwie, że żadna podłość, żadna droga krzywa nie doprowadziła go do tej fortuny kolosalnej, której jednak on tknąć się nie chciał od pierwszej chwili dorosłości, i tworzy to dramat rodzinny, pełen wzruszającej tragiczności ze względu na uczucie serc rodzicielskich. Jedynak milionera, którego do chrztu otrzymał król Francji Ludwik Filip, skoro tylko dorósł i nauki ukończył, idzie na swój chleb i utrzymuje się w Paryżu z lekcji języka włoskiego, mówiąc matce, że jest z tego zadowolony — że się tak cieszy, mogąc zarobić dziennie dziesięć franków, jak ojciec, skoro zarobi tyleż milionów.

I obecnie jest on nauczycielem w „Collège Chaptal“ i w „École des sciences politiques“, a matka zaledwie zdołała ubłagać go, aby przyjął od niej skromną pensyą dożywotnią, która zabezpieczyłaby go od biedy wrazie choroby, a potem w starości, która już pracować nie może. Przystał, ale tylko ze względu na prośby i boleść matki: utrzymuje się pogłoska, że jest on z przekonania socjalistą, który widzi grzech w używaniu milionów, na które złożyła się praca tysięcy, niewynagrodzonych przecież podobnym dostatkim. Ale jest w życiu tego człowieka szczegół jeden, zasługujący na uwagę. Gdy umarł Eugeniusz Yung, założyciel i redaktor tygodnika wychodzącego

w Paryżu: „Revue Bleue“, on nabył bardzo znaczną ilość jego akcyi, ratując od upadku pismo bynajmniej nie socjalistyczne, niekrańcowe lecz przeciwnie, przekonane tylko rozumnie, ucziwie liberalnych. Nie można również widzieć tu wyrachowania, aby organ poczytny dostał się w jego ręce, bo w Paryżu może każdy założyć pismo, jakie chce — może je rozpowszechnić przez taniostwo. Przytem „Revue Bleue“ jest pismem przeważnie literackim.

Nasuwa się tu myśl inna jeszcze: czy to nie dziedzictwo ducha po przodku — po świętym ascecie, który podobnie wszystko rzucił: godności świata, pełne blasku i chwały życie magnata — patrycyusza, aby w cichości i skupieniu wewnętrznej swej istoty pełnić cnoty ewangeliczne miłości Boga i zaparcia się świata? Matka idąca z krwi Salezyuszów okazała też nastroj uczeń podobny. Ojciec, a potem mąż, jak dzieje się zwykle w małżeństwach zawartych na podstawie miłości, dał młodemu życiu kobiety kierunek pierwszy. Szła według jego wskazań, wyrabiała w sobie gusta i zamiłowania odpowiednie, zawsze przeciw szlachetne i poważne, znamienne umysł wyższy; gdy przecież została samotną, życie to zmienia odrazu. Usuwa się od świata i pełni dzieła miłosierdzia — rozdaje chorym, ubogim, pracującym sto pięćdziesiąt milionów! Mógł tu oddziaływać wpływ syna; czy przecież znalazłaby się łatwo matka, nawet najmocniej kochająca, która by w tem, co ona położeniu, ulegała do tego stopnia wpływowi takiemu? I duch zaparcia się dóbr ziemskich tak ją ogarniał coraz więcej, że w ogromnym, pysznym pałacu swoim zajmuje w końcu jeden pokój mały, sypia na twardem, wązkim łóżku żelaznem i umiera, przyciskając do piersi krzyż drewniany!...

Chrześcijańska to pokora, chrześcijańskie równanie się z rzeszą biednych i cierpiących nakazało pani nieprzeliczonych majątków skazać się wśród magnackiego przepychu na życie ubóstwa, na zaspakajanie tylko potrzeb koniecznych i zmarła należy też do rzędu wyjątkowo zajmujących i niepospolitych postaci — podniosłych charakterów.

M. Ilnicka.

POGA WĘDKA.

Długi, za długi karnawał temu winien, czy też poważniejsze przyczyny składają się na to, — ale Warszawa nie bawi się tak ochoczo i z takim zapalem, z jakim innych lat się bawiła.

Nie słyhać o licznych zabawach prywatnych, o kopach pączków zjedzonych, o wyścigach za grajkami do tańca, o białych mazurach, o kuli-gach, o kostyumowych wieczorach i rozmaitych innych szaleństwach zapustnych. Byłoby to postęp i umiarkowanie, byłoby to zrozumienie nareszcie sytuacji, która nie pozwala na wybryki kosztowne i marnotrawstwa lekkomyślnego?...

Chcę przypuszczać, że tak, że to nareszcie początki tego rozumu, którego bieda uczy i który po szkodzie przychodzi.

Nie trzeba wszelako sądzić, żeśmy się z wesołych facetów poprzemieniali w ponurych trapiistów i wyrzekli wszelkich dozwolonych uciech, co zresztą przy naszych skłonnościach do wszelkiej krańcowości nie byłoby rzeczą tak dziwną; nie, my balujemy nawet i zdobywamy się na oryginalne pomysły dla urozmaicenia zabaw, ale nie przesadzamy, i to należy zanotować z uznaniem.

Chcąc połączyć oryginalność z oszczędnością, zamiast całkowitego balu kostyumowego, urządzono tak zwany bal „pudrowany“, na którym panie miały stawić się w białych perukach lub z włosami pudrem przysypanemi; zatem tylko głowa zmieniła swój strój, resztę okrywać miała toaleta współczesna, nie wspólnego z wiekiem XVIII-ym nie mająca, ani z modą margrabinek wersalskiej epoki.

Zdawało się, że ta nowość pociągnie, ale wbrew przewidywaniom bal pudrowany nie udał się na

sali, za to zapełnił galerye ciekawym tłumem, który rozczarowany nie miał się czemu przypatrywać; zaledwie kilkanaście par stanęło do kadryla.

Peruki zawiodły, co tak oziębilo zwolenników zapustnej excentryczności, że podobno zaniechano już urzędzenia balu *à la Mikado*, w kostymach japońskich—i dobrze się stało; po co się sadzić na dziwactwa bez sensu, które pociągają znaczne wydatki za sobą, a ostatecznie nie mają nic na swoje usprawiedliwienie?

Był czas przed lat dziesiątkiem, kiedy japońszczyzna w Paryżu stanowiła modę; oryginalne i naśladowane malowidła, wachlarze, bibeloty, obicia, wazony, porcelana, papier, fryzury, materye, etc. etc., wszystko musiało nosić cechę japońską.

Waryowano na tym punkcie, jak swego czasu na innych; do nas każda fala z Zachodu przychodzi nieco spóźniona; więc i ten gust japoński z operetką Sullivana dostał się—*einen Posttag zu spät*.

Mikado tedy ze swym orszakiem nie „uświetni” tegorocznej kroniki karnawałowej, natomiast ukazać się miał na trzeciej maskaradzie, która wier-na tradycji, ściągnęła *tout Varsovie* do Sal Redutowych. Poszli wszyscy cisami przypomnieć sobie, jak się nudzili i ziewali zeszłego roku na tej „trzeciej”, która ma przywilej ściągać tłumy, wygniatać z nich strugi potu, płaskich dowcipów i piramidalnej... nudy.

Badaj—to tradycya!... ona zapewni powodzenie jeszcze jednej maskaradzie, która zdobyła sobie prawo rywalizowania ze słynną „trzecią”, maskaradzie z tombolą, urządzaną pod koniec karnawału na dochód kasy pożyczkowej artystów i oficyalistów teatralnych.

Od dwóch tygodni zbierają już fanty na tę tombolę, która przy świetle elektrycznym i przy blasku wszystkich słońc, gwiazd i gwiazdeczek scenicznych odbędzie się zapewne w końcu Lutego.

W Marcu zaś pożyteczna instytucya odwoła się znowu do publiczności, ale z innego tonu; będzie to ton wysoce artystyczny. Dyrektor Rzebiček, który jak wiadomo, przekonał Warszawę, że może mieć świetną orkiestrę koncertową i słuchać poważnej muzyki, nie zaspiając na symfoniach, urządził wspaniały koncert z ogromnym udziałem środków instrumentalnych i wokalnych na dochód również kasy pożyczkowej.

Na koncercie tym usłyszeć mamy najwspanialsze arcydzieło muzyki nowoczesnej: dziewiątą symfonię Beethovena z chórami, nie wykonywaną dotąd nigdy w Warszawie, a znaną tylko bardzo muzykalnym stolicom zagranicą.

Dla melomanów będzie to zatem prawdziwa uroczystość, o jakiej nie marzyli w Warszawie, która swoją muzykalną opinią podnosi rzeczywiście od pewnego czasu.

W operze śpiewa znowu Miss Ella Russel i zamyka kasę przed przedstawieniem, co skłoniło dyrektora do zaangażowania amerykańskiej primadonny na drugi tuzin występów gościnnych.

Tymczasem opera nasza stanęła wobec kłopotliwej kwestyi: *Be or not to be*; dotąd opierała się na jednym jedynym tenorze, który za swój axamitny głos kazał sobie złotem płacić. Pan Myszuga był tym tenorowym filarem za 12.000 rs. rocznej płacy, ale... pan Myszuga ma tylko ludzkie gardło i należało przewidywać ewentualność chrypki, zapalenia, niedyspozycyi lub jakiej innej przeszkody, która mu śpiewać nagle nie pozwoli.

Na taki fatalny wypadek opera nasza nie była przygotowana i drugiego tenora do partyi bohaterki nie posiadała w zapasie, chociaż ma kilka primadon, które reżysserya traktuje, nie jak słowiki, ale jak kokoszki, przyzwyczajone do wysiadywania na miejscu bezczynnie.

Stało się tedy, że ów jedyny tenor, płatny za dwóch, a może i trzech, zachorował na gardło, i to ciężko, musiał się poddać operacji, zamknąć w domu i rozpocząć poważną kuracyę, i to właśnie w porze, w której głos jego jest najpotrzebniejszym na wielkiej scenie, bo Miss Russel sama jedyna za dwoje wystarczyć nie może.

W ostatniej chwili z ciężkiego kłopotu wyratował operę p. Bruszewski, początkujący artysta, który nadarmo pukał przedtem, jako debiutant do wrót teatru, ofiarowując swój głos do dyspozycyi;

ale niechaj Bóg broni, ażeby p. Bruszewski dostał teraz chrypki, bo wówczas tenorowy krach dałby się we znaki operze. Nie pomogłaby amerykańska primadonna, chyba przypomniałoby sobie p. Cieśleńskiego, który prywatyzuje i jest tenorem w „stanie spoczynku” od czasu zejścia ze sceny warszawskiej.

W dramacie nie nowego, o czemby wspomnieć było warto; p. Tatarkiewicz po kilkumiesięcznym urlopie z powodu choroby, wrócił do zdrowia i do dawnej gospodarki reżysserskiej, skutkiem czego p. Ładnowski zwolniony został z zastępstwa.

Sumienny artysta z inteligencyą i zamiłowaniem poważnej sztuki (mówię o p. Ładnowskim), swoje zastępcze obowiązki spełniał w sposób godny wszelkiego uznania i przekonał dyrektora, że można łączyć wyższe interesa sceny ze względami kassowemi, że można publiczność zwabić i na tragedya, i zająć ją Szekspirem „starym, jak świat”, że można podnieść poziom gry i uszlachetnić repertoar: a nie potrzeba spekulować na spaczonych instynktach i zepsutym guście publiczności, karmiąc ją samemi farsami lub lekką strawą francuzkiej kuchni.

Jakoś nie było słyhać zakulisowych skarg, jęków i utyskiwań na niesprawiedliwe rozdawnictwo ról i prywatę w obsadzie sztuk lub układzie repertoaru; cicho, zgodnie i składnie upłynął ten okres zastępstwa, które mogłoby pod wieloma względami służyć za wzór, jaką powinny być inteligentna, rozumna i dbająca przedewszystkiem o dobro sztuki i sceny reżysserya naszego dramatu, niepodległa wpływowi postrojnemu i nie służąca za narzędzie chwilowym widzom lub zarozumiałym ambicyjkom scenicznym i zakulisowym intrygom.

W dziedzinie sztuki zapanowało ożywienie z powodu malarskiego konkursu, który do Salonu Towarzystwa Zachęty sprowadził około trzydziestu obrazów, po większej części nowych, świeżych, żywotnych talentów, nacechowanych teżyzną młodości i siły.

Dotąd wszystkie doroczne konkursy nie sprawiały wielkiego wrażenia i nie miały się czem pochłubić: rzecz prosta, nie było się na co łakomić; fundusz przeznaczony na nagrody rozpadł się na małe cząstki dla malarstwa, rzeźby, architektury, skórka nie starczyła za wyprawę. Nie chciało się też zamiejscowym artystom ryzykować po prostu kosztów posyłki. Obecnie zaprowadzono korzystną reformę pod względem ustanowienia nagród; cały fundusz przeznaczony na premia dla jednego rodzaju sztuki, dopuszczanej kolejno do konkursu.

W bieżącym roku po laury i ruble sięgnęło samo malarstwo.

Nagród ustanowiono trzy; pierwsza wynosiła 600, druga 300, a trzecia 200 rs. O taką sumę warto się już było pokusić. Nie trzeba zaraz wnioskować z tego, że artyści nasi to ludzie zmateralizowani, do których dźwięk złota przemawia najmowniej a widok tęczówek rozbudza natchnienie. Gdzie tam! to tylko z małemi wyjątkami ludzie niezamożni, którzy z pędzla skromnie mogą się wyżywić i ze względami praktycznymi, pomimo całego idealizmu w sztuce, swej liczyć się muszą.

Otóż około trzydziestu pośpieszyło tym razem na wezwanie do tego turnieju, na którym kopią zastępował pędzel, a tarczę paleta.

Pierwszą nagrodę zdobył młody artysta, uczeń Akademii monachijskiej, niepospolicie utalentowany malarz, p. Wacław Szymanowski, syn zmarłego poety i redaktora *Kuryera Warszawskiego*. Obraz jego, z niewyszukaną treścią, ale wymowny i jasno się tłómaczący wybornemi środkami realistycznej techniki, przedstawia „Kłótnię Huculów” w górskiej karczmie; to pierwsze większych rozmiarów dzieło, zyskało p. Szymanowskiemu uznanie jury na monachijskiej wystawie sztuki „za znakomitą poprawność rysunku i czystość kolorytu,” zrobiło mu od razu szeroki rozgłos i postawiło go w rzędzie celniejszych talentów, na które z uwagą badawcze oko krytyki i... *kunsthändlerów* spogląda.

Z początku p. Wacław Szymanowski poświęcał się rzeźbiarstwu i doszedł w tym rodzaju sztuki

ki do rezultatów wiele obiecujących, ale później przerzucił się do malarstwa, ujął za pędzel i z niezwykłą gorliwością oddał się studjom poważnym w nowym kierunku; z Paryża przeniósł się do Monachium, gdzie bawił szwagier jego, zaszczytnie znany malarz Alfred Kowalski; z dojrzałą wytrwałością pomimo młodego wieku zabrał się do pracy i po kilku latach talent jego rozkwitnął całą krasą świeżości, zdobywając się na dzieło jednogłośnym uznaniem i podziwem powitane.

Drugą nagrodę otrzymał Nestor naszych malarzy i przewodnik wielu znakomych dziś artystów, którzy jemu początki swoje w sztuce zawdzięczają, Wojciech Gerson, za obraz przedstawiający: „Dwór Kazimierza Sprawiedliwego,” trzecią wreszcie: uwieńczono dzieło młodego malarza p. Kacpra Żelechowskiego, ucznia szkoły krakowskiej, rozpoczynającego dopiero swój zawód artystyczny. „Wywłaszczenie w Galicyi,” jest przedmiotem obrazu trzeciego laureata.

Zywiół ludowy, podobnie jak w belletrystyce dzisiejszej, a ongi w poezyi, przeważa też i w sztuce u nas; dostarcza on motywów plastycznej twórczości i zbliża do natury najbliższej i do swojskości, najłatwiej i najsympatyczniej się tłómaczącej w dziele sztuki.

W związku z nią winienem wspomnieć o olbrzymiej pracy literackiej, podjętej przez p. Antoniego Narkiewicza-Jodkę, obywatela ziemskiego z Wolicy, który właśnie wydał pierwszą część, w trzech sporych tomach, swego „Historycznego szkicu,” przedstawiającego umysłowy i artystyczny rozwój ludzkości od zawiązku pierwszych społeczeństw do początków sztuki chrześcijańskiej.

Ogromne zadanie, przewyższające siły jednego człowieka; ile studyów, erudycyi, pracy nad zebraniem i ułożeniem materiału wymaga takie dzieło!... Jak się zdaje, p. Jodko z całą świadomością swego zadania podjął się tej pracy i zamierza prowadzić ją na wielką skalę. Część pierwsza obejmuje dopiero „Zarys dziejów malarstwa od najdawniejszych czasów do końca XVIII stulecia, poprzedzony pobieżnym rzutem oka na historya i cywilizacyę narodów starożytnych i mniej znanych ludów współczesnych z uwzględnieniem przeważnie ich rozwoju w rozmaitych gałęziach sztuki.”

Ta część pierwsza, służąca jako wstęp, zajęła około stu arkuszy druku; ozdobiona jest przeszło 600 ilustracyami; wydanie nazwać można zbyt-końnym pod względem typograficznym.

Krakowska drukarnia Anczyca i Spółki dała w tem dziele prawdziwy wzór pięknego druku i odbicia.

Pod względem literackiej i naukowej wartości trudno z przejrzenia ogromnego dzieła zdać dokładnie sprawę. Autor sam w przedmowie bardzo skromnie ocenia swoją pracę, którą uważa za potrzebę chwili bieżącej a za jedyną zasługę swoją: sumienne zebranie i zestawienie ostatnich wyników poważnych badań naukowych w przedmiocie kultury i historii sztuki, ułożenie ich z pewną metodą i powiązanie o tyle, ażeby szkic tak utworzony, dawał zbliżone do prawdy pojęcie o działalności każdego ze starożytnych lub współczesnych a mało znanych nam ludów, o cechach mu właściwych, o dokonanych postępkach, o wrodzonych mu zdolnościach i o stanowisku, jakie mu przynależy w ogólnym rozwoju ludzkości.

Duże odczytanie i korzystanie widocznie z dzieł źródłowych przebiega w pracy p. Jodki.

Autor, z uznania godną skromnością, tak się wyraża w swej przedmowie:

„Raz jeszcze powtarzam na zakończenie, że nie mam bynajmniej illuzyi co do rzeczywistej wartości tej książki; sam dobrze widzę rozmaite w niej usterki—i surowa nawet o niej krytyka wcale mnie nie zadziwi. Myślę jednak, że jako ziemianin osiadły na roli, piszący tylko w chwilach wolnych od licznych zajęć i obowiązków publicznych, towarzyskich i domowych, zasłużyć sobie na pewną pobłażliwość ze strony ukształconej publiczności, tem bardziej, że, opracowując tę książkę, miałem głównie na celu odwrócenie od siebie smutnych i czarnych nieraz myśli, zbyt często w chwilach obecnych tłoczących się do duszy każdego z nas i zadośćuczynienie wrodzonej potrzebie umysłu,

łaknącego wśród trosk codziennego życia trochę intelektualnej strawy; wydając ją zaś na widok publiczny, powodując się jedynie nadzieją, że dziełko to treścią swoją może komuś przynieść niejaki pożytek, jeżeli zaś otrzyma jakie takie powodzenie, przyczyni się do pomnożenia, w drobnej przynajmniej części, zasobów krajowej instytucji, której je ofiaruję.“

Dwie, dobrze znane wydawnicze firmy Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie i Maurycego Orgelbranda w Warszawie figurują na książce, ale wydawnictwo jej nie jest księgarskim interessem, gdyż czysty dochód z tej pierwszej części dzieła przeznaczył autor na korzyść warszawskiego Towarzystwa Zachęty do Sztuk Pięknych.

Jeden powód więcej, aby rzeczywiście rzadkie w swoim rodzaju a potrzebne dla światlejszych umysłów dzieło w naszej literaturze polecieć gorąco uwadze czytelników, autorowi zaś życzyć doprowadzenia do końca mozolnej, ale pięknej pracy, która w każdym razie będzie mu poczytaną za zasługę.

W tych rozmiarach i z takim nakładem wydana, jest to pierwsza historia sztuki plastycznej u nas; jedyną rzeczą, która może stanąć na przeszkodzie większemu jej rozpowszechnieniu, jest cena nieco za wysoka,—nie w stosunku do wartości książki, ale w stosunku do kieszeni przeciętnego czytelnika, dla którego jednorazowy wydatek 15 rs. w tych czasach nie jest zadaniem łatwym.

Co prawda, jest to koszt nie owiele większy od ceny dwóch butelek szampana, którego nie jeden koszt wyrzeli na wiwat w tym karnawale, ale ci, którzy u nas piją szampańskie wino, nie kupują książek najczęściej, a ci, którzy go nie pijają, bo za drogie, nie mają znow za wiele do wydania „na bibułę“.

Jednak znajdują się wyjątki tak hojne, że skoczków cyrkowych obdarzają wieńcami z kwiatów i koszmami „białego“, a co szczególniejsza, że te wyjątki należą do... rodzaju żeńskiego. Tak przynajmniej zapewnia jeden z *Kuryerów*, donosząc o owacy, którą wyprawiono w zeszłym tygodniu dwóm gymnastykom w hecarni p. Buscha.

Kiedyindziej znow grono wesołej młodzieży trzymało zakład o kosz wdowy Cliquot z jakimś excentrykiem, że nie przejdzie podczas deszczu z odkrytą głową przez ulicę Królewską i Marszałkowską bez parasola; młody panicz zabawił się w oryginala i otoczony gromadą gapiów, z kapeluszem w rękę, odbył całą oznaczoną drogę w jasny dzień, zakład wygrał i korkami strzelał na wiwat przy suten śniadaniu.

Tak się nasi lordowie bawią; co prawda łatwo im chodzić po ulicy bez kapelusza, skoro przy podobnych zakładach dowodzą zarazem braku całej... głowy.

Na zakończenie winienem uzupełnić wiadomość, podaną w ostatniej Pogawędce, o rozporządzeniu funduszem 15,000 rs. przez Henryka Sienkiewicza; musieliście już z pism codziennych czytać o tem, że autor „Pana Wołodyjowskiego“ ofiarowaną sobie gotówkę przeznaczył na wieczystą fundacyą imienia swojej ukochanej żony s. p. Maryi z Szetkiewiczów Sienkiewiczowej. Procent od tej sumy, wynoszący około 900 rubli, służyć ma corocznie na zapomogę dla chorych literatów, dziennikarzy, lub artystów, potrzebujących środków dla poratowania zdrowia lub wyjazdu na południe do cieplejszego klimatu. Nie tylko oni sami, ale ich żony albo dzieci korzystać mogą z tego funduszu, który będzie prawdziwym dobrodziejstwem dla biednej rzeszy literackiej i artystycznej w najcięższych chwilach, jakimi niezaprzeczenie dla pracowników pióra, pędzla lub dłuta są choroby. Kto ją przechodził sam, albo miał w domu i długo pozbyć się nie mógł, kto zrozpaczony patrzył w wyczerpującą się z ostatnich groszy kieskę i z koleżeńskiej łaski, jeśli nie z lichwy, musiał naostatku, przyciśnięty ostacnością czerpać środki ratunku, ten błogosławić będzie samą myśl i hojną ofiarę Sienkiewicza.

W tej fundacyi może powstać podwalina całej instytucji zapomogowej, która z czasem dałaby się rozwinąć i uposażyć większemi kapitałami. A wielki czas, abyśmy w chorobie przestali być

Łazarzami, a po śmierci kładli się w trumnę ze składek redakcyjnych kupowaną i zostawiali wdowy bez chleba a sieroty bez bucików na łasce „wdzięcznej potomności“...

Wielki czas pomysleć poważnie o sobie i o swoich.

Quis.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Nie, nie mam, bom nie Salomon, ale i Salomon z próżnego nie naleje.

— Masz głowę, Świdiersiu, mówię ci, że masz. Przekonasz się, że ją masz. Jutro rano zobaczymy się na łąkach, będą tamtędy przejeżdżał i przekonam cię, że ją masz.

— Nie, jasnie panie, nie przekona mnie jasnie pan, choćbym rad.

— Zobaczymy. A teraz, mój Świdiersiu, idź do domu, odpocznij sobie, pogawędź z żoną i wyspij się. Dobranoc ci.

— Dobranoc jasnie panu — odpowiedział smutno Świderski. W głosie jego czuć było żal i urazę do pana. Wyszedł cicho i cicho drzwi za sobą zamknął.

Prezes powstał i podszedł do sekretarza.

— A teraz może mi będziesz zarzucał, że się nie staram wyrabiać w ludziach samodzielności, że intelligencyą moją przygniatam ich, że rozkazami terroryzuję, a szczegółami ogłupiam, robiąc z nich machiny. Tak, mój drogi, nie jest. Na dowód, sprawy mniejszej wagi w powiecie zostawiam tobie, a w rolnictwie Świderskiemu.

Sekretarz, zajęty własnymi myślami, nie odpowiadał.

— Przepraszam cię za porównanie ze Świderskim — pośpieszył dodać marszałek.

— Nie gniewam się, porównanie bardzo zaszczytne. Świderski prawy i pracowity człowiek.

— I bardzo przywiązany do mnie i mojej rodziny.

— Czuć to było w brzmieniu jego głosu, w żalu...

— Osobistość zacna — przerwał szybko marszałek — ale ciasna głowa. Nie rozumie mego stanowiska w kraju i tego nie może pojąć, że jeżeli ja coś robię, to musi być wzorowe, musi być modelem dla całej okolicy, jeżeli nie zachodniej Galicyi.

Wymawia mi, na przykład, wentylacje w stajni, podług angielskiej metody. Drogie są, prawda, lecz znakomici gospodarze zjeżdżają się oglądać je i naśladować. Albo przyświecać we wszystkim, albo być niczem: to moja zasada, i tak jest w życiu. Panie Tadeuszu, wierzaj mi: kraj potrzebuje przewodnictwa.

Służący wniósł światło, głosząc, że wieczera podana.

— Doskonale, bo też jeść mi się chce siarczyście. Chodźmy. Napracowaliśmy się, a więc zasłużyliśmy na pokrzepienie sił. Byliście z Adamem na polowaniu?

— Ośm słomek — odparł Tadeusz.

— Wybornie, kobiety więcej nie zjedzą, niż po jednej; na nas wypadnie po dwie. Namiętny ze mnie myśliwy, lecz nie mam czasu. Czasu mi dajcie, czasu! — powtarzam, jak jeden z generałów Napoleona, walcząc w ciasnej przestrzemi, wołał: Miejsca na cztery bataliony! — a dam sobie radę... Ostatnie wyrazy kończył już w jadnym pokoju, wyciągając ręce na przywitanie do Adama i całując żonę i córkę w czoło.

— Polowanie uwieńczone ośmioma sztukami słomek; winszuję. Co to za rozkosz być na wakacjach, odpoczywać po pracy i bez wyrzutów sumienia nic nie robić!

Tadeusz tymczasem pocałował w rękę panią marszałkową serdecznie, poprzyjacielsku przywitał się z Julią. W otoczeniu kobiet twarz rozjaśnił i ułożył usta do pogodnego uśmiechu.

— Siadajmy — kommanderował wesoło marszałek, myśliwi napiją się wódki i gospodarz przy sposobności skorzysta. Jakże wam przeszedł czas, gdy w ja z panem Tadeuszem pracowałem? — a raczej pan Tadeusz ze mną, gdyż już gotowe referaty przywiózł. Poczuł, pomaga mi dzielnie. — Kobiety wzrokiem podziękowały Tadeuszowi.

— Od czegoż jest sekretarzem? — pochwylił Adam — i w mieście nazywanym mądram głową?

— I przyjacielem naszego domu — dodała marszałkowa serdecznie.

— Mieć przyjaciela — to wielka zdobycz — wygłosiła Julia.

— Miećcież panie litość nad skromnością czterdziestoletniego młodzieńca — pochwylił Adam. — Patrzcie: zarumienił się, oczy spuścił i nie wie co odpowiedzieć.

Tentent koni i turkot bryczki zagłuszył wyrazy Adama.

— Gryzio — zawołał marszałek — poznaję go po dzielnym klusie koni i roztrzęsionym kłokocie bryczki. — Radości marszałka nie podzielały panie. Wiadomość tę przyjęły zimno i milcząco.

Marszałek nie mylił się. Za chwilę do pokoju wtoczyła się okazała postać Gryziosa, czerwona na twarzy, z rysów było światło zadowolenia, małe siwe oczki patrzyły ciekawie, usta szerokie i grube, nad niemi szpakowaty wąs, a nad kwadratowym czołem wznosiła się gęsta, krótko ostrzyżona, zakończona niewielkim czubem, czupryna.

— *Laudetur* — rzekł rubasznie, lecz i serdecznie. Ucałował rękę pani domu, uściskał marszałka i Tadeusza, skłonił się Julii i Adamowi.

— Zkąd Bogi prowadzą? — rzucił pytanie marszałek.

— Zaraz, zaraz; naprzód wódka, potem przekąska, potem krótka relacyjka, kolacya, a dopiero sprawozdanie. Taki porządek rzeczy. — Mówiąc to, spojrzawszy znacząco na Adama, mrugnął na marszałka; marszałek również mrugnięciem mu odpowiedział.

— Siadaj przy mnie — rzekł, wskazując mu krzesło. — Co słycać?

— Wszystko dobrze. Walczymy, zdobywamy stanowisko po stanowisku, pchamy się naprzód i spełniamy obowiązki.

— Obowiązki to rzecz najważniejsza — obowiązki włożone na nasze barki przez kraj, a wypływające z naszych stanowisk społecznych.

— Jako marszałek umie każdą myśl świetnie rozwinąć! — zawołał basem Gryzio.

— Jakie pan nowiny przywozisz z okolicy dla nas? — odezwała się pani domu, chcąc przerwać deklamacyę Gryziosa.

— Szanowna wdowa z Kamieniołomu... *Pardon!* Przy pannach nie mówi się o takich rzeczach. — Szepnął marszałkowi do ucha i obaj śmiali się cicho.

— Dalej — ciągnął Gryzio — aptekarzowa wyjechała do matki na dwa tygodnie, a proboszcz nasz widział ją w Tarnowie z kuzynem, officerem od dragonów. Zrobiła się chryja, i pana aptekarza wymazał dzisiaj z Kasyna.

— Za co? — wołał Adam — za co? — Panie zaczęły się uśmiechać.

— Za to, mój panie — rzekł poważnie Gryzio — że obowiązkiem aptekarza pilnować żony, a naszym pilnować moralności. Marszałku, czy nie tak?...

— No, widzisz, mój Gryziu — odparł marszałek — przedewszystkiem powinno być szanowane ognisko domowe.

— Właśnie dla jego uszanowania. Jeżeli nasze ogniska domowe nie będą szanowane, to po nas. Aptekarz dostał naukę. A że ztąd powstaną awantury, skandale, burze, to właśnie dobrze, bo przez burze świat się oczyszcza. Mam nadzieję, że przeciw nam marszałek nie wystąpisz!

— A jeżeli — odezwała się z uśmiechem pani domu — officer ten jest istotnie jej kuzynem?

— Pani marszałkowo, znamy się na kuzynach officerach od dragonów.

Marszałek nie chciał walczyć z opinią mężów z Kasyna, za to Adam, z widocznym rozdrażnieniem, bronił praw pani aptekarzowej, nazywając wyrok Kasyna średniowiecznym, barbarzyńskim, dzikim.

Gryzio rej wodził w Kasynie: wybuchy Adama zaczynał uważać jako osobistą obrazę i gdyby nie to, że Adam zręcznie odwoływał się do opinii pań, dałby mu nauczkę.

Marszałek widział rozdrażnienie Gryziosa, i obawiając się starcia, dał znak żonie. Powstano od stołu.

Za chwilę przyjaciele znaleźli się w kancelaryi.

— A teraz, kochany Gryziosiu, mów—zawołał rozciekawiony marszałek.

— Czterech mamy kandydatów. Ze strony Stańczyków, jak zawsze, pan Jan, lecz przeczajony, aby się nie kompromittować. Z miasta adwokat, lecz ten dziś nie wchodzi w rachubę. Drobną szlachta stawia młodego Radwana, a my, stara gwardya, prowadzimy naszego marszałka.

— Dwóch poważnych kontr-kandydatów — szepnął marszałek. — Stańczyki rosną w siłę.

— I łatwo mogą się głosy rozdzielić — dodał Gryziosiu.

— Łatwo — powtórzył marszałek.

— Za Radwanem pójdzie intelligencya i młoda szlachta. Jest ich dosyć w powiecie.

Zamilkli obaj.

— Cóż myślisz, Gryziosiu? — spytał marszałek.

— Może byłoby zręcznie i politycznie — szepnął Gryziosiu, lecz, jakby się przestraszył własnej myśli, zamilkł.

— Kończ — nalegał marszałek.

— Abyśmy Radwana postavili, poparli i tym sposobem pobili Stańczyków.

— Nigdy — zawołał rozdrażniony marszałek — nigdy! Stanowisko w radzie nadzorczej, w tak wpływowej instytucji, jest nadto ważnem. Oddawać go młodzikowi niepodobna. Zresztą na Radwana nie zgodzi się poważna część naszego obywatelstwa. Mając do wyboru między nim a panem Janem, przechyla się na stronę tego ostatniego. Raz dopuścić do władzy Stańczyków: a zduszą wszystkich.

— Nigdy! — zawołał Gryziosiu.

— Lepiej postraszyć stronników Radwana Stańczykami i zmusić ich, aby przeszli do nas.

— Możliwe, lecz widzisz, kochany marszałku, trzeba im za to coś dać. Tyle razy ciągnąc ich do siebie, obiecywaliśmy im złote góry; skończyło się na obietnicach. Dwa miejsca w wydziale rady powiatowej nie idą w rachubę. Zaczynają szemrać i buntować się. Powiem marszałkowi szczerze: mają dużo racyi.

— W teorii, lecz nie w praktyce — odparł marszałek. — Powiat nasz musi być nazewnątrz reprezentowany przez ludzi wpływowych i znanych w kraju.

— Prawda — poświadczył Gryziosiu — prawda.

— Pokaż mi w ich partyi ludzi?... Radwan? Młodzik, mówią o nim, że warchoł. Ma wymowę, nie przeczę, lecz krzykacz. No, i skrajny postępowiec do czerwoności.

— Ale ma za sobą gromadkę, marszałku.

— Lecz ani jednej powagi. A wiesz, że kraj powagami stoi, powagi zaś — popularnością.

— Więc cóż robić? Jeśli wystąpimy, musimy zwyciężyć koniecznie. A czy zwyciężymy?

— Zwyciężymy — zdecydował spokojnie marszałek. — Za tydzień u mnie obiad, przeważnie dla stronników Radwana.

— Bravo — zawołał Gryziosiu.

— Do Radwana wyślemy w poselstwie Tadeusza. Obydwaj postępowcy, obydwaj demokraci, obydwaj zapaleńcy i przyjaciele.

— Dobra myśl.

— Nareszcie za parę dni sam osobiście jestem u Radwana.

— Genialna idea.

— A wiesz kto mnie postawi na kandydata w dzień wyborów, w sali wyborczej?...

— Słucham.

— Gałdziński. Przeciw staremu żołnierzowi,

i takiej prawości sztandarowi nikt nie odważy się wystąpić.

— Marszałek znasz swoich ludzi.

— Jutro przyjmuję; będę pierwszy, — naradzimy się.

— Jeżeli tak, to zwycięstwo pewne, niezawodne, niczem niezachwiane. Niech żyje nasz delegat w radzie nadzorczej!

Uściskali się.

— Lecz, Gryziosiu, trzeba się wziąć do pracy.

— W usługach kraju nikt mnie nie wyprzedzi. Klnę się na Boga: nie mam czasu; siewy, łaki, koniczniny, czworo dzieci... — Gryziosiu chwycił się za głowę.

— Ależ masz dobrego ekonoma.

Gryziosiu machnął ręką.

— Nie rozpaczaj; z ratą zaczekam do Nowego Roku.

Gryziosiu milczał ponuro.

— Masz niezłą wioskę — mówił dalej serdecznie marszałek, — dałem ci dobrą dzierżawę: i narzekasz?

— Marszałek wybornie wiesz, ile usługi oddawane krajowi kosztują — odparł Gryziosiu.

— Wiem — szepnął. — Ale powtarzam sobie: raz się żyje i jedna ojczyzna.

— Jedna ojczyzna — powtórzył Gryziosiu — tak, prawda, lecz dzieci czworo.

— Kraj o nich nie zapomni — odparł marszałek z pewnością i głosem tak przekonującym, jak gdyby miał do rozdania sto posiad. Gryziosiu uwierzył, westchnął, lecz jednocześnie rozpogodził twarz.

— Gryziosiu, baczność! — zakommenderował marszałek. — Ty w jedną, ja w drugą stronę. Jutro wieczorem czekam cię u Gałdzińskiego, zastaniemy połowę powiatu, zrobimy partyę i, razem wracając, ułożymy dalszy plan kampanii.

Poszli do salonu, lecz nikogo już w nim nie było. Młodzi odjechali, panie przeszły do swych pokoi.

— A tośmy się zagadali — rzekł wesoło marszałek. — A mnie czeka jeszcze ciężka praca, przynajmniej trzy godziny.

Gryziosiu wyciągnął olbrzymich rozmiarów rękę, uściskali się, wsiadł na rozklekotaną bryczkę i odjechał.

— Przysięgłbym, że Gryziosiu był nasłany na mnie przez Radwańczyków — szepnął marszałek, wracając do swego pokoju. Ale mu dałem dobrą nauczkę i odprawę. Tosamo delikatnie o wycofaniu się napomykał Tadeusz. Chęć mnie usunąć, chęć się mnie pozbyć!... Przygniatam ich intelligencyą, energią i rozumem stanu. Zobaczymy! i uderzył ręką w stół. — Ja, lub nikt! — powtórzył. Dotąd ja tu panem, ja rozkazuję, ja jestem wszystkim. — Rozpalił się, nozdrza mu się rozszerzyły, oczy nabrały blasku, ręka drżała. — Gdyby kto ośmielił się zepchnąć mnie z tej wysokości, biada mu! Czy to demokratą i postępowiec, czy stańczyk! — Spojrzał na stos papierów i zaczął je gorączkowo przeglądać.

— Co tu zaległości! — szepnął wystraszony. — Za tydzień ankietą w Wydziale Krajowym, a mój referat nie zaczęty. — Siadł przy biurku, rozłożył papiery i zabrał się do pracy.

Do pokoju wsunęła się cicho pani marszałkowa.

— Stasiu, czy możesz mi poświęcić godzinę czasu?

— Z rozkoszą, lecz nie w tej chwili — odpowiedział marszałek, nie odwracając oczu od papierów.

— Chciałam z tobą pomówić o naszych domowych sprawach, o interessach... — Marszałek zrobił kwaśną minę.

— Dobrze, moje dziecko, lecz jutro — zaczął pisać.

— Czy los naszego dziecka przestał cię obchodzić?

— Maryni! — zawołał z godnością marszałek. — Pozwól mi najpierw spełnić obowiązki względem kraju.

— Dobranoc ci — powiedziała cicho pani Marya i drzwi zamknęła za sobą.

— Dobranoc moje dziecko — powtórzył, nie przestając pisać wielkiego referatu, który miał

zadziwić wszystkich kolegów, a upokorzyć Wydział Krajowy.

Gryziosiu, siedząc na wózku, nałożył fajkę, zapalił i pociechu powtarzał:

— Jedna ojczyzna, a kraj o dzieciach nie zapomni. — Zaciągnął się gwałtownie i dwa kłęby dymu puścił przez nozdrza. — Marszałek poczeka na ratę do Nowego Roku, ojczyzna nie czeka!... Jutro objadę czwartą część powiatu, wieczorem partyjka u Gałdzińskiego, wesoła gawęda przy kolacyi. Antek, umykaj — zawołał na chłopaka siedzącego na kozle.

— A dyć lecimy, że boję się, aby wózek do krzty się nie rozleciał.

— Skoro świt z wózkiem do kowala; o siódmej wyjeżdżam.

— Że też wielmożny pan miejsca w domu nigdy nie zagrzeje! Na taki pilny czas para koni w bronach zwałaby kawał roboty.

— A wiesz ty, co to znaczy służyć ojczyźnie?

— Dobrze pan służy ojcowiźnie, kiej od niej ucieka, jakby go kto kijem gnał.

— Tyś na to, mój Antku, za głupi.

— Może być — odparł Antek rezolutnie — ale to wiem, że, jak służę, to po świecie nie gonię, ino pilnuję swego.

— A ja nie pilnuję?

— Bo nie — odparł spoufalcony chłopak. — Wielmożny pan ma gospodarstwo, panią w domu, dzieci... — nie śmiał dokończyć, czekał na odpowiedź i nie doczekał się. Gryziosiu zmęczony zdrzemnął się.

Noc była cicha, ciemna i gorąca. Gwiazdy oświecały drogę, wijącą się wśród zżętych łąków pszenicy i stojącego na pniu owsa. Psy zaczęły szczekać, stróż zatrał na rogu, otworzył wrota, bryczka zatoczyła się przed ganek. Gryziosiu wsiadł, otworzył pociechu drzwi kluczem, który nosił w kieszeni, na palcach przeszedł do pokoju, rozebrał się i powtarzając: „jedno życie i jedna ojczyzna, kraj o dzieciach nie zapomni“, — zasnął snem sprawiedliwego.

W tej chwili Tadeusz u siebie pisał list:

„Kochany Karolu!

„Przecucia moje sprawdziły się. Marszałek, jak zawsze, kandyduje i obecnie.

„Gryziosiu, wysłany na zwiady, wrócił w wyborzym humorze. Rady moje co do ograniczenia godności i urzędów zostały stanowczo odrzucone.

„Ponieważ i pan Jan występuje do walki, o twej kandydaturze zatem niema mowy. Przy rozstrzeleńniu głosów mógłby łatwo Stańczyk zwyciężyć. Powiat nasz, jak i wiele innych, skazany jest na letargiczny sen. Nie dziw się więc, że jestem rozgoryczony, tem więcej, że w najbliższem mem otoczeniu zaczynają się dziać rzeczy, które coraz mniej mi się podobają.

„Północ wybiła — jutro znowu do pracy. Marszałek przynajmniej swym sekretarzom i ekonomom dużo zostawia samodzielności...

„Do widzenia! Jeżeli w tym tygodniu nie wpadniesz do miasteczka, w niedzielę przysyłaj konie. Vale.

„Tadeusz.“

III.

Piękny kapitan Gałdziński, ozdoba Saskiego Placu i salonów warszawskich w 1830-ym roku, dziś czerstwy, białowłosy starzec, mianowany przez okoliczne obywatelstwo w imię zasług pułkownikiem, zajmował okazały dwór ładnej, w dobrej glebie położonej wioski i dwóch do niej należących folwarków. Majątek ten odziedziczył po żonie. Gospodarował powojskowemu: rygorem i porządkiem, i rządził się dobrze. Przed dwudziestu kilku jeszcze laty postrach mężów w powiecie, dziś, nie tak powaga, jak raczej wspaniały sztandar, nie rządził, lecz panował: otwartym domem, dobrą kuchnią, winami i grą. Odważny, imponujący do zuchwalstwa, szedł na przebój w cudzej sprawie, jeżeli został ujęty pochlebstwem, uproszony, lub dał słowo. Lubiał bywać w towarzystwie panów. Gdy się znalazł sam wśród nich, starał się być wytwornie grzecznym, bez usługomości i lokajstwa, którem pogardzał. Gdy go zaś

otaczała szlachta, a pan się zbliżył, lekceważył go butą i szorstkością żołnierską, byle sobie zdobyć szlacheckie uznanie i miłość. Do takiego-to męża jechał pan Rębowski o poparcie, i nie omylił się. Pułkownik lubił walczyć za swych przyjaciół, ludzi popularnych, szanowanych, znanych w powiecie i kraju.

Okna Zawadzkiego Dworu jaśniały wszystkie bez wyjątku, rzucając światło na wielki gazon, na którym czasami w dniu uroczyste popisywała się młodzież na koniach, przesadzając baryery.

We dworze było gwarno. Zgromadzili się wszyscy najbliżsi i kilku dalszych sąsiadów. Pułkownik o białym, jak mleko, wąsie, hiszpance i krótko podstrzyżonej czuprynie, imponował wzrostem, szerokimi ramionami i spojrzeniem czarnych oczu, mimo, że dźwigał siedmdziesiąt pięć lat na swych barkach. Głos miał donośny, śmiech szczery i serdeczny, postawę żołnierską. Gości swych, dobierając zρέcznie stanowiska i sympaty, porozsadzał przy zielonych stolikach. Gryziowi, który go z patryotycznych uczuć zawsze w ramie całował, kazał się zastąpić w taroku, gdyż Gryzio był mistrzem w tej grze; sam zaś konferował z kucharzem i lokajem, z piwnicy osobiście wydał wino, a wróciwszy do gości, przechodził od stolika do stolika, bawiąc ich zawsze świetnym humorem zaprawionym anegdolkami.

Marszałek, otoczony swymi politycznymi przyjaciółmi, rozkoszował się w atmosferze uznania, pochlebstwa i szacunku. Karta mu szła, bawił się wybornie.

Przed ganek cicho zajechał wiedeński powozik; wysiadł z niego pan Jan, zrzucił z siebie okrycie, i niespodziewanie stanął przed pułkownikiem.

Pułkownik się wyprostował, uśmiechnął i ręce wyciągnął. W sali zrobił się szmer, zebrani goście powstali. Najpierwszym był marszałek, ostatnim Gryzio. Pan Jan rozpromieniony witał się ze wszystkimi, lecz z każdym z obecnych inaczej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWINY PARYZKIE.

(Dokończenie.)

Paryż 31 Grudnia 1888 r.

z owy Grudzień i stare wspomnienia.—Manifestacje komunistyczne.—Obrachunek pochodu.—Z wielkiej chmury mały deszcz.—Bulanżyści w senacie.—Naquet i oportuniści.—Nie budź licha, kiedy śpi.—Opinia i jej chwiejność.—Pierwsze przedstawienie w Odeonie sztuki p. Goncourta: *Germinie Lacerteux*.—„Naturaliści“ i publiczność.—Słowo o nowej sztuce.—Wystąpienie p. Antoniego.—Opinia ministra Lockroy.—Zmiana frontu.—Śmierć znakomitej kobiety, księżny Galliera.—Jej dobroczynność i donacje królewskie.—Życie i śmierć.—Panna Popelin jako adwokat.—Wyrok sądu apelacyjnego w Brukseli.—Pierwsza nagroda Paryzkiej Akademii Nauk.—Pani Kowalewska laureatka.—Ścięcia Prado.—Jeszcze Chambige.—Sprawiedliwość i opinia publiczna.—Święta i obchody religijne w Paryżu.

I otóż owa Germinia Lacerteux, rzucona do publicznej jamy (*fosse commune*). Nie brakło nic więcej widzom po tych wylewach brzydoty, niechlujstwa i sprośności nad to, aby jej towarzyszyć na cmentarz. Troskliwy autor nie pominął sposobności i, chcąc nie chcąc, musimy iść za nim. Dziesiąty obraz przedstawia ową to, wam może nieznaną jeszcze w tej postaci, powszechną jamę grobową cmentarza na Montmartre, do której zrzucają trupy w czambuł, aż póki się nie zapełni. Jesteśmy tam wobec czarnego krzyża, przysypanego śniegiem. Tu przychodzi i panna Varandeuil pomodlić się na grobie, a przy sposobności nawymyślać radzie miejskiej za to, że Germinia nie ma krzyża na swej mogile.

Ten koniec, posepny i oburzający zarazem, dokonał ostatecznego upadku sztuki, pomimo protestacji przyjaciół i uczniów autora. Nie mogą tu się rozwodzić nad wadami i niedostatkami utworu, nad brakiem pełnym jasności, związku,

sądu i analizy charakterów i uczuć. Nie mogę, bo musiałem zostawić na stronie, jak pewno sami już spostrzegacie, dziewięć dziesiątych obrazów i zamilczeć o tym szeregu wystąpień, nietylko brudnych, ale wręcz sprośnych, które wypełniają całe życie i miłości ułuczne Germinii Lacerteux.

Jeżeli to ma być prawdą, że dramat Goncourta jest jakby ostatecznym manifestem szkoły realistycznej i jej naczelnej głowy—to żałować należy i głowy i szkoły. Nowego nic tu niema we względzie sztuki dramatycznej; nowem jest tylko grubobijaństwo i spodlenie języka. Wprowadzenie takich monologów, jak „Odźwiernego“ i „Panny Varandeuil“, które zapełniają całe dwa obrazy—jeżeli to można nazwać nowością,—stanowi nowość nudną i kłiwą. Jednym słowem: protestacya, jaką wywołała ta sztuka na pierwszym przedstawieniu ze strony publiczności, usprawiedliwia się zupełnie dziwactwem i nędzotą dzieła.

Ja nie mogłem zamilczeć o sztuce z dwóch powodów. Najpierw z nagłego zwrotu, tak zwanej opinii publicznej, która z czarnego przeszła na białe, i to na drugim zaraz przedstawieniu, po wystąpieniu brutalskim i dziwnym p. Antoniego, o którym mówiliśmy już dawniej—p. Antoniego, aktora i dyrektora „Wolnego Teatru.“ Ten w liście otwartym, pisanym do p. Poreta, dyrektora sceny „Odeonu“, oddając mu największe pochwały za śmiałość, z jaką wprowadził na scenę swego teatru tak wspaniałe arcydzieło, jak „Germinia“, kończy, dając solenne cięgi tym „głupim holyzom“—*Les gueux imbéciles*, którzy się tak znając na sztuce, jak kura na pieprzu—śmieli wygwizdać takie arcydzieło!

Opinia,—jakby tego czekała tylko. Zwraca się jak kołowrót, i wszystkie dzienniki zaczynają dowodzić, że rzeczywiście jest to dzieło pierwsorzędne. Ale my zostaniemy przy wyroku pierwszego przedstawienia. Niezmiernie „charivari“, w którym odrazu utonęła sztuka Goncourta, kłeska taka, że publiczność nie pozwoliła nawet na ogłoszenie nazwiska autora, według zwyczaju,—to pierwsze wrażenie jest prawdziwem i daje sąd sprawiedliwy.

Drugą przyczyną, która mię pobudziła do pomówienia o sztuce i dania jakby przestrogi: *ostrożnie z ogniem*—jest ta okoliczność, że kwestya *Germinii* poruszona została w Senacie i że minister oświecenia, interpellowany o to: jak może pozwalać, aby teatr otrzymujący zasilek z funduszów państwa takie szkaradziństwa wyciągał na scenę—wystąpił z tak żywą obroną Germinii, jakgdyby był jej przyjacielem!

A teraz dajmy krzyżyk na drogę bohaterce Goncourta, prosząc Boga, aby ją od naszej sceny odwrócił... a zwróćmy się—kiedy już rzecz chodzi o kobietę—ku temu, co zasługuje na pamięć i szacunek, jeśli nie w sztuce, to w życiu, co jest większą sztuką!

D. 9 Grudnia zmarła tu kobieta, wielka pani, wielka bogaczka, a niezmiernego miłosierdzia niewiasta, księżna Galliera. Urodzona w Genui, zmarła była córką margrabiego de Brignole-Sale, pochodziła więc z jednej z pierwszorzędnych rodzin sabaudzkich. Ojciec jej był długi czas posłem w Paryżu za panowania Ludwika Filipa, który też był ojcem chrzestnym jego wnuka, imieniem także Filipa, dziś ostatniej latorośli i spadkobiercy rodziny.

Księżę Galliera pochodził z mieszczańskiej rodziny geneueńskiej Ferrarich. Olbrzymią, bo dwieście milionów przenoszącą, fortunę zrobił na drogach żelaznych, naprzód Ferdynanda w Austrii, a następnie innych we Francyi, Włoszech i Sardynii. Z ogromną fortuną przyszła żądza honorów. Tytuł księżęcy nabył sobie Ferrari we Włoszech, a prawdziwe szlachectwo przyszło mu dopiero ze szlachetnego użytku, jaki uczynił on sam, a szczególnie małżonka jego, z tej olbrzymiej fortuny.

Uposażenia zakładów dobroczynnych dokonane przez oboje małżonków są tak liczne, iż nie podobna tu ich wyliczać wszystkich; muszę się ograniczyć do główniejszych; te są:

Na Muzeum Galliera, nieskończone dziś jeszcze, które się wznosi wspaniale przy Avenue de Trocadero i przeznaczone jest na pomieszczenie obrazów, posągów i innych dzieł sztuki pierwszorzęd-

nych artystów, przedewszystkiem Szkoły Włoskiej,—na budowę i utrzymanie 5 milionów frank., nie licząc bynajmniej tych bogactw sztuki, które są zapisane na ten cel przez księżnę;

na budowę przytułku sierot, pod wezwaniem S-go Filipa, blisko Meudon pod Paryżem, i na budowę przytułku starców w Meudon 14 milionów;

na utrzymanie tych dwóch zakładów 10 milionów, albo 500.000 fr. dochodu;

na budowę trzech domów w Paryżu, gdzie biedni wyrobownicy znajdują bezpłatne mieszkanie,—2 miliony;

na szpital w Clamart pod Paryżem, 11 milionów...

O kraju ojczystym, o gnieździe rodzinnem Ferrarich, nie zapomniła też ks. Galliera. Miasto Genua otrzymało królewskie prawdziwie dary. Między temi na pierwszym stoi miejscu wyposażenie miasta w fundusz potrzebny na prace około pogłębiania portu; na ten cel zapisała księżna 25 milionów franków. Założyła dalej dwa szpitale, które kosztowały 7 milionów, a nakoniec Pałac Ferrarich, który wraz z kosztownymi i rzadkimi zabytkami sztuki, ze wspaniałem umeblowaniem¹⁾ oceniony został na 6 milionów franków.

Oprócz tych ogromnych zapisów, codzienna już dobroczynność zmarłej nie miała granic. Nic więc dziwnego, że wskutek ciągle otwartej ręki i worka—fortuna przeszła z 200 składająca się milionów, która się jej dostała po śmierci męża, stopniała, po oddzieleniu części przypadającej na schedę synowską, do 15 lub 20 milionów.

A przecież w tem życiu, tak świetnem napozór, tak hojnie uposażonem ze strony losu, nie brakło cierni i kolców—i ta napozór szczęśliwa kobieta ciężkie i bolesne, jak mówią świadomsy ludzie, dźwigała na swych barkach krzyże. Strata dzieci, z których jeden tylko jej syn pozostał, była, zdaje się, głównym powodem jej moralnych cierpień. A ten syn jednak, odrzucając bogactwa, rzucając matkę, bez synowskiego uczucia miłości—poszedł w świat własną swoją drogą. Długie, długie lata—dziś bowiem ma on przeszło lat czterdzieści—był on obcym, straconym dla swoich i dla matki. Dotknięty manią prześladowczą, na każdym kroku i miejscu widział nieprzyjaciół—którzy jakoby mu zarzucali nieprawość nazwiska i tytułów ks. Galliera. W tej exaltacji umysłowej odrzucał księżę Filip tytuł i fortunę ojcowską, ograniczając się do prostego nazwiska rodowego Ferrarich—i jako skromny nauczyciel korepetytor, dawał lekye w jednym z naukowych zakładów prywatnych w Paryżu, utrzymując się jedynie ze szczupłych bardzo dochodów nauczycielskich. Później, może wobec skarg i prośb nieszcześliwej z tego powodu matki, opuścił Paryż—i jako Privat-Dozent wykładał historią w Niemczech i w Ameryce. Była nawet chwila, gdy ten biedny, skołany umysł zamierzał wyrzec się zupełnie swego imienia i stać się przybranym synem jakiegoś cudzoziemca. Dziś, zdaje się, że spokój wrócił już do tego umysłu; w ostatniej przynajmniej chorobie matki okazał się ks. Filip Galliera—czułym i przywiązanym synem. Niestety, była to ostatnia pociecha dla zmarłej!

Śmierć tej wielkiej, możnej, dobroczynnej pani, śmierć po kilku tygodniach okropnych cierpień (astmy)—śmierć w osieroceniu, na skromnym łóżeczku i w pokoju pozbawionym wszelkich wytworności, jakie panowały w sąsiednich apartamentach pałacu, między czterema białymi murami prostej komnaty, mogłaby pod świetniejszym piórem, niż moje, przybrać rozmiary i wdzięk zajmującej powieści.

Co do tego muzeum, o którym mówiłem wyżej, przy Avenue de Trocadero, dowiaduję się w ostatniej chwili, że uposażenia go w przedmioty sztuki zaniechała księżna wskutek procesu wytoczonego przez miasto, zaprzeczające jej prawa darowania tego zakładu skarbowi, czy Narodowi Francuzkiemu; gdyż, wzniesione na gruncie miasta, muzeum należeć powinno do Paryża. Miasto, wygrawszy ten proces niemądry, prowa-

1) Było ono przeznaczone dla Muzeum Galliera w Paryżu.

dzi dalej budowę z ofiarowanych początkowo przez księżnę 5-ciu milionów; ale dobroczynna kobieta, wspaniała w darach swoich pani, nie chciała już zaopatrywać go w bogaty swój zasób dzieł sztuki, ani też w tym samym celu zapewniać mu funduszy na przyszłość.

Nie wychodząc z obrębu bieżącej kroniki kobiecej, zapiszemy tu jeszcze fakta następujące: D. 12 Grudnia pierwsza izba Sądu Apellacyjnego w Brukseli, wydała swój wyrok w sprawie panny Popelin, żądającej dopuszczenia jej do złożenia przysięgi, wskutek której mogłaby praktykować jako przysięgły adwokat.

Sąd oświadczył się przeciw temu żądaniu, w następujących słowach:

„Ponieważ prawa rządzące nami, zgodnie ze zwyczajami kraju, nie przypuszczają, aby kobiety mogły się oddawać zawodowi obrońcy;

„ponieważ miejsce, jakie kobieta zajmuje w społeczności, wkłada na nią obowiązki trudno dające się pogodzić z profesją tego rodzaju; ponieważ zresztą nie posiada ona wcale, ani swobody, ani siły, ani zdolności potrzebnych do praktykowania tej profesji;

„ponieważ nowożytny prawodawca, pod wpływem tychże powodów, odmówił kobiecie orzeczonej niedolną — prawa do czynienia czegobądźkolwiek bez upoważnienia męża; nie może on tedy przypuścić również, aby kobieta mogła działać w sprawie drugich — to, co jest wzbронione jej samej; a więc: Sąd Apellacyjny domaganie się panny Popelin odrzuca.“

Mniej wyłączną i bezwzględną dla kobiety okazała się Akademia Nauk w Paryżu. Pierwszą nagrodę nauk matematycznych tego roku otrzymała kobieta, i dotego Polka. Przysądzono tę nagrodę pani Kowalewskiej, która, jak opiewa nota akademii, jest professorem matematyki w uniwersytecie w Stockholmie.

Ile uczuwać chluby, zapisując to na kartach mojej kroniki, o tyle się wstydzę, że to nazwisko, tak znakomitej Polki, i tak uczonej kobiety, po raz pierwszy doszło do mej wiadomości. Jest to jeden jeszcze dowód skromności szanownej profesorki, skromności tak rzadkiej dziś, nawet w uczyonym świecie.

Mniej skromnymi okazały się dzienniki, zapisujące tę wiadomość, z tym pośpiechem i nieuctwem, tak właściwym tutejszym reporterom. Wyczytawszy to nazwisko, podane zapewne jako: Korwin-Kowalewska, zrobili zaraz z tej pani pokrewną sławnego Króla Węgierskiego Matyasza Korwina; kiedy poprostu pani Kowalewska musi się pieczętować Korwinem v. Krukiem. Że ci wszyscy Korwinowie mogli pochodzić z jednego szczerpu z nieboszczykiem Matyasem, o to się spierać nie będę; ale, jak na teraz, myślę, że klejnot tak czystej i pięknej wody, jak nauka matematyki, wystarczy pani Kowalewskiej za wszystkie mniej więcej pewne czy niepewne kolligacje królewskie.

Nakoniec mieliśmy ostatni akt tego krwawego dramatu, w którym, jak pamiętacie, główną odegrał rolę Prado, ów zabójca kobiety, znanej pod nazwiskiem *Agaetan*. Kilka dni temu, ucięto mu łeb, albo mówiąc według dykeyonarza Sienkiewicza, jego naśladowców, *uciszono go* na placu de la Roquette.

Nie chcę brudzić mych kartek opisem tego, co się tu powtarza przy każdej ekzekucji kapitalnej, i gdzie, od tak oburzającego widoku, jaki sprawia gilotyna i jej krwawe rusztowanie, wstrętniejszą nierównie rzeczą, jest to zbiegowisko pospółstwa i niepospółstwa, wśród którego panowie z bobrowymi kołnierzami i wystrojone panie, pierwsze zajmują miejsca. Widzieć ten tłum zbestwiał, przy bladym brzasku jutrzeńki mroźnego, mglistego poranku, cisnący się gwałtem prawie do stóp tej okropnej rzeźni, — przepełnia to grozą i wstrętem człowieka; opowiadać tego niepodobna, bez wykołejania poczciwej rozmowy na jakieś nieludzkie bezdroża.

Zostawiam to dziennikom tutejszym, które i u siebie macie. Ale czego przemilczeć nie mogę, to tej chwiejności, z jaką opinia publiczna i ludzie tutejsi przechodzą z czarnego na białe. Oto więc usieczon Prado, mniejsza oto: była to osobistość niezastępowana na nic lepszego — zgoda, ale, wchodząc w grunt rzeczy, oskarżyciele i prokuratora

nie dowiodły mu wcale, kategorycznie, aby on był owym zabójcą tej Agaetany. A więc nie był, ani *in flagrante crimine deprehensus* ani *iure victus* ¹⁾, przeciw został usieczon. A oto ów sławny Chambigé, ten nietylko „in crimine deprehensus“, ale sam zeznał i przyznał zabójstwo kobiety, matki dzieci, w najbardziej cyniczny sposób — ten skazany został tylko na lat kilka do ciężkich robót! Dlaczego? mniejsza o to, wyrok zapadł, prawo tak chciało, skończono. Nie — dziś znowu podnoszą tę sprawę i zapewniają, że prezydent złagodzi ten wyrok i że ciężkie roboty zastąpi proste więzienie! To już przechodzi wszelkie pojęcie o tem, co złe, a co dobre.

A przecież w tym kraju wiara nie wygasła wcale, pomimo wszystkich usiłowań, wszelkich mędrców i wszelkich nicponiów, a sprawiedliwość — to najstarsza z jej córek... Trzeba tu być i patrzeć na to, co się dzieje w te święta Bożego Narodzenia. Kościoły przepelnione są wiernymi; prawda, że większość to są kobiety, ale tutaj kobieta tak wielkie, szerokie zajmuje miejsce, że można być pewnym tego barometru: póki ona góruje, póty jest pogoda i bezpieczeństwo. Zresztą, znając osobistości, łatwo sobie zdać sprawę: żony największych radykałów pierwsze zajmują miejsca, a mąż, choć się kryje w domu, nie śmie jej zagrozić drogi i sam musi iść z nią w parze.

Tego roku obchody świąteczne były daleko świetniejsze, niż kiedy, a tłumy ludu tak wielkie, że na każdej mszy docisnąć się do ołtarza można było tylko z wielką trudnością.

Przyjmijcie i odemnie życzenia przy Nowym Roku.

Dziennik Zofii Komierowskiej,

spisany w Paryżu w r. 1853.

(Dalszy ciąg).

D. 18 Marca. Dziś mamy nową a oryginalną uroczystość. Bywa u nas inteligentny młodzieniec Izraelita, przybyły z kraju, podobno siostrzeniec Kronenberga. Poznawszy go, Towiańczyk nakłonili do przyjęcia wiary chrześcijańskiej i jednocześnie wciągnęli go do koła „Braci.“ O 6-tej ma się odbyć ceremonia chrztu w Chapelle Ratisbonne. Ja trzymam go do chrztu z Nabelakiem.

D. 19 Marca. Wczorajsza uroczystość trwała przynajmniej dwa razy dłużej, niż zwykle. Już po dopełnionej ceremonii włożono na nowo-nawróconego długą, do samej ziemi, koszulę, dano mu świecę zapaloną w rękę i tak oprowadzono go trzy razy wkoło ołtarza, poczem ojciec chrzestny koszulę zdjął, zwinął i wraz ze świecą schował na wieczną rzeczy pamiątkę. Z kaplicy pojechaliśmy wszyscy na obiad do jednej z najpodrzedniejszych restauracji na Batignolles, gdzie nas zaprosiło grono Towiańczyków uczestniczących w ceremonii. Kiedy weszła do tej gargoty i obejrzała się po niej, przyznając, że mi się niedobrze zrobiło, lecz obecność męża mego cały wstręt przemogła. Osób było zebranych 47, służbę pełnili sami zapraszający. Obiad był najzwyczajniejszy *ouvrierski*. Między zaproszonymi znajdował się i ksiądz, Towiańczyk, niemilej powierzchowności. Siadając do stołu, odmówił głośną modlitwę, którą wszyscy powtórzyli. W czasie obiadu były nieustające mowy, zwracane do nowo-nawróconego a wprowadzonego w tajniki „sprawy świętej.“ Za kilkanaście dni ma on być, jednocześnie z nami, przedstawiony mistrzowi. To znowu dało powód zebranym biesiadnikom do zwrócenia słów swoich ku nam. Kobiety szczególnie z największą exaltacją rozplływały się nad tem nieopisanem szczęściem, jakie nas czeka, i jednocześnie każda z nich

sięgnęła do kieszeni, aby jakiś upominek w moje ręce dla mistrza złożyć. Była tam i paczka papierosów i pojedynczo dawane cygara i paczka tytoniu, i kawałek mydła i czekolada — słowem: Bóg wie czego tam nie było. Na zakończenie ojciec chrzestny ofiarował nowo-nawróconemu ową koszulę z gromnicą, wraz ze stosowną przemową, w której nas wszystkim upewnił, że nie droższego i miłszego przez całe życie posiadać nie będzie. Biedny chłopiec pocił się jak mysz i przyjął dar z oznakami wdzięczności.

Dziś imieniny mego drogiego męża. Nie mogłam mu nawet powinszować, bo równo ze dniem poszedł do spowiedzi. Oczekiwałam go z pierwszym i drugim śniadaniem naprzód, a kiedy jeszcze i na obiad nie wracał, zaniepokojoła do najwyższego stopnia, zaczęłam w głos płakać. Nagle wszedł do salonu codzienny nasz gość Gierycz, a ujrawszy mnie płaczącą, z prawdziwym tryumfem i zadowoleniem rozsiadł się w fotelu. Po chwili dowiedziałam się, że to mili bracia wyprowadzili go na cały dzień do kościoła St Etienne, odległego o godzinę drogi, aby mógł wyćwiczyć ducha swego przed stawieniem się u mistrza. Oburzenie moje nie miało granic; wybiegłam jak szalona, wsiadłam w stojący powóz i pędziłam do kościoła. Już się zmierzchało, kiedy przybyła; kościół zastałam jeszcze otwarty i w nim biednego męża mego, leżącego krzyżem przed ukrzyżowanym Chrystusem. Podniosłam biedaka z ziemi, uściiskałam, uspokoiłam, i gwałtem prawie zawlokłam do powozu. Te dziesięć godzin nieustającej modlitwy na czezo, w zimnym i wilgotnym kościele, w takiej exaltacji, mogły go być do waryacji przyprowadzić; zmizerował się też tak, jakgdyby ciężką przebył chorobę. Żeby tylko miała odwagę i nie bała się mężowi memu zrobić przykrości, tobym całe to braterstwo kijem z domu przepędziła!

D. 25 Marca. Wielki Piątek. Cóż się tu dziś dzieje, o zgrozo! Dzień męki i śmierci Zbawiciela obrócony na widowisko publiczne. Oczom i uszom własnym wierzyć nie chciałam. Zamiast modlitwy i pokuty — wystawa strojów, ekwipaży, libery i wszystkich najróżnorodniejszych zbytków. Od godziny czwartej, — właśnie wtenczas, kiedy u nas i we wszystkich katolickich krajach lud pobożny korzy się przy grobie Zbawiciela, — tu się rozpoczyna defilada najpiękniejszych powozów, zaprzęzonych z największym zbytkiem i elegancją, i spacer pieszych, jakby z *journalu* zdjętych, figur, przesadzających się w strojach. Wszystko, co się dziś na Longchamps ukaże, jest wyrazem ostatecznej mody: to też magazynierki ściągają nieledwie z całej Europy na dzisiejszy dzień do Paryża, aby własnymi oczyma zasilić swoją imaginacją u tego źródła zbytku i zepsucia.

Ja mój dzień, jak zwykle, rozpoczęłam kościołem. Grobów tu niema tak urządzonych, jak u nas; żadnych ozdób nie widać, tylko krucyfik, leżący na dywanie, przed którym każda Francuzka robi gracyonalny dyg. Dla ludzi jednak chcących ten dzień uczcić modlitwą odprawia się nabożeństwo rano i popołudniu. Na takim właśnie nabożeństwie byłam w kościele Świętej Magdaleny. Tłok był taki, że się docisnąć do krzesła nie mogłam, bo siedm słów wygłaszał z ambony najznakomitszy tegoczesny kaznodzieja, ksiądz Lacordaire, a między jednym i drugim słowem najpierwsi artyści europejscy z Opery Włoskiej śpiewali *Stabat Mater* Rossiniego i inne religijne pienia, zastosowane do żałoby dnia. Nie zapomnę, póki życia, wyniesionego ze świątyni wrażenia. Kiedy ksiądz skończył i przykląkł, aby połączyć modlitwy swoje z prośbami zgromadzonego ludu, orkiestra odegrała coś tak cudownego, że słuchacze pomimowoli przeniesieni zostali na wzgórze Kalwaryi i ukazał im się obraz umierającego Zbawiciela, zakamione słońce, walące się skały, otwierające groby — słowem: po wielu wiekach, w odległym kraju słuchacz zamieniał się w bezpośredniego świadka Męki Chrystusowej.

Mówiąc o grobach, zapomniałam powiedzieć, że jeden tylko kościół Świętego Rocha wyróżnia się urządzeniem swoim. Od strony prawej wielkiego ołtarza idzie się długą, krytą galeryą, pochyłą położoną, która prowadzi do kaplicy w formie

1) „Ani na gorącym uczynku schwytyany, ani pokonany przez prawo.“

groty w skale wykutej, i ta sprawa rzeczywiście wrażeń grobu, w niej bowiem wśród mnóstwa światła i kwiatów leży Chrystus, cudnie rzeźbiony, bez krzyża. Złudzenie jest zupełne.

D. 27 Marca, Dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Idąc do kościoła, zgorzoniałam widokiem ludzi pracujących przy budowie domu; przystanąłam, aby ich zapytać: dla czego tak uroczystego dnia nie święcą? Odpowiedzieli mi z ironią, że jeżeli się podejmę wyżyć w dni świąteczne ich żony i dzieci, to oni z przyjemnością odpoczywać będą. Nie mogę zrozumieć, czemu się to dzieje: wszak Francja jest krajem tak bogatym, a Paryż najzbytówniejszym miastem w świecie—bawia się rok cały, publiczne bale codziennie przez cały post aż do Wielkiego Piątku: a rzemieślnicy jednego dnia świętować nie mogą, bo im głód zagraża. Rzadkokiedy ujrzałam *ouvriera* francuzkiego w kościele; jeśli który na chwilę wejdzie, to jakby przez zapomnienie się; stoi przy drzwiach nieporuszony,—czapkę z głowy zaledwie zdejmując.

Na święconem byliśmy u Mickiewiczów. Rozrzewniony był widok skromnie zastawionego stołu, na którym jednak wszystko można było odnaleźć; prosiłko nawet, z jajkiem w zębach, przydawało na środku, a to specjał bardzo tu kosztowny, bo, jak mi mówiła p. Adamowa, zapłaciła za nie 24 franki. Poeta jest tak przywiązany do ojczystych obyczajów, że wolałby tydzień cały nie jeść, niż nie uprzytomnić sobie w zupełności tej chwili, która mu żywej dom rodzicielski i ukochany kraj przypomina.

Po śniadaniu panowie poszli do pokoju poety, na fajki i cygara, ja zaś zabawiałam zebrane panie opowiadaniem zwyczajów w naszej ukochanej Warszawie. Po chwili ukazał się we drzwiach mój mąż, przywołał mnie do siebie i rzekł, że, jeśli chcę słyszeć mówiącego z ducha Adama, to zbym stanęła nieruchomie przy portyerze, a wszystko widzieć i słyszeć będę. Nie śmiałam odetchnąć, aby ani jednego nie utracić słowa. Mickiewicz siedział podparty; wzrok jego tonął w przestrzeni; oczy tak dziwnym świeciły blaskiem, jakgdyby się wpatrywał w jakieś widzenie świata nadziemskiego. Obawa niezrozumienia tego, co usłyszę, tak mąciła moją uwagę, że z trudnością chwytalam dochodzące mnie wyrazy. To, co mówił, było rodzajem prorocstwa w jasnowidzeniu. Natężony duch poety odmalował wspaniały a grozą przejmujący obraz, o którym słuchacze później mówili, że im przypomina widzenia Apokalipsy S-go Jana.

D. 29 Marca. Jutro opuszczamy już Paryż; zaczęłam się już pakować. Jakże mi żal ztąd wyjeżdżać! Bóg wie: czy mi się jeszcze powtórzą kiedy w życiu te dni spędzone bez troski, kłopotu, przy zaniem i kochającym sercu męża? Jeśli żałuję Paryża, to nie dla jego powabów, zbytków, zabaw, szalu—bo tych nie mam wcale na sumieniu,—ale dlatego, że mi tu tak dobrze było, a to nieogarnione smutne przecucie, które mnie na chwilę nie odstępował, ostrzega, że nadchodzi już czas prób i ucisku. Wyjeżdżamy tedy do Zürichu i Genewy, a po powrocie ze Szwajcaryi mamy tu jeszcze czas jakiś zabawić.

Dziś byliśmy z pożegnaniem u poety. Kiedy rozmawiałam z panią Adamową, oznajmiono jakiegoś pana, który, wszedłszy, przedstawił się jako „hrabia“. Był to młody chłopiec, ubrany jak lalka, z monoklem w oku, z miną dość niemądram i arrogantą. Pani Adamowa otworzyła drzwi do pokoju męża i zawołała dość głośno i cśchle:—„Adamię, masz gościa, który ci się chce przedstawić.“ Wyszedł poeta i przeciągłym spojrzeniem zmierzzył gościa. — „Pozwoli łaskawy pan, że mu się przedstawię: jestem hrabia (sic) P.“ — „Z Króle-

stwa, z Litwy, czy z Poznańskiego?“ — „Z Poznańskiego, z księstwa, z tych dobrych, prawdziwych hr. P..... — spędziłem zimę w Paryżu, poznałem całe towarzystwo i dziś przychodzę przedstawić się Szanownemu Panu, bo być w Rzymie, a nie widzieć Papieża *ce serait tout-à-fait ridicule*. Zresztą, cóżby na to powiedziała hrabina i cała okolica?“—i wypowiadając te wyrazy tonem sentencyonalnym, podskakiwał, jak pajac przed poważnie stojącym poetą; jedną ręką obracał kapelus, drugą zaś grubym łańcuch od zegarka. — „Rad jestem bardzo, że widokiem moim powiększam panu długi szereg odebranych już wrażeń i boleję jednocześnie, że go według woli własnej przedłużyć nie mogę, bo troska o chleb powszedni na dłuższe oderwanie się od pracy mi nie pozwala.“

To powiedziawszy, Mickiewicz odszedł, a młodzieniec, wykręciwszy się jeszcze na pięcie, zrobił nam wymanierowany ukłon, dodawszy „Mesdames“ i w lansadach z saloniku wyskoczył. Po jego odejściu poeta wrócił do nas i zawołał z głębokim smutkiem i boleścią: — „Cóż to za straszna nędza! Powiedz mi, mój Józiefie, czy wszystko, co na świat wypuszczacie, podobne tej maryonetcie; bo z tych co mnie tu przychodzą oglądać, ani jeden prawie nie-inszy. Zdaje się, że wszyscy zpod jednego wyszli stempla. Wołacie do Boga, a przygotowujecie krajowi takich synów, że chyba skończyć z bólu i żałości.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Wybór dzieł Kaz. Wł. Wójcickiego w wydaniu ozdobnym z ilustracjami wychodzić zacznie w połowie przyszłego miesiąca nakładem drukarni Wł. Ratyńskiego. Redakcją wydawnictwa prowadzą Pług (Adam Pietkiewicz), I. K. Plebański i Zyg. Głoger, a nazwiska te dostatecznie już objaśniają, że wydawnictwo to jest poparciem godnym. Dzieła Wójcickiego są poświęcone wyłącznie rzeczom naszym, mieszczą w sobie prace cenne i ciekawe dla naszego społeczeństwa. W „Bibliotece Starożytnych Pisarzy“ pomieszczone są zabytki bardzo rzadkie i mało znane. „Warszawa i jej społeczeństwo“ przedstawia, prócz miłych wspomnień, czytanie objaśniające w wielu rzeczach. Wójcicki jako zbieracz starych rzeczy jest pisarzem bardzo zasłużonym i dzieła jego powinny z tego względu znaleźć się w każdym domu, a wniosą tam ze sobą atmosferę swojską i dadzą wiele wiadomości o życiu i obyczajach dawnych—o dawnych ludziach. Sam już „Cmentarz Powązkowski“ da tego niemało—wspomnień o osobistościach, godnych pamięci o których przecież pokolenie dzisiejsze wie bardzo mało lub wcale nie. Każdy dzieł tych prenumeratorem ma prawo nadesłać życiorys znanej sobie, lub blizkiej mu osoby, spoczywającej na tym cmentarzu, a wydrukowanem to zostanie bezpłatnie.

— Na Wystawie Paryżkiej znajdzie się nasza chata wiejska, wystawiona tam przez sekcją budowlaną warszawskiego komitetu wystawy. Wieśniaczka rodzina Klewackich z okolic Warszawy będzie w niej czyniła honory w Paryżu, we właściwych ubiorach ludowych.

— Szkoła Koszykarska w połączeniu z fabryką koszyków ma być założoną pod Ōlkuszem lub Dąbrową Górnica. Założyciele badają obecnie

urządzenia takich zakładów w Galicyi, gdzie koszykarstwo jest bardzo rozwiniętym przemysłem ludowym.

— Na cześć poety Karola Brzozowskiego, który obchodził jubileusz czterdziestoletniej pracy literackiej, urządzone we Lwowie przedstawienie teatralne jego dramatu: „Malek“ odbyło się przy licznej zebraniu publiczności. Po czwartym obrazie wywołanego autora otoczyło grono artystów dramatycznych, wręczając mu wieniec. Po przedstawieniu zgromadziło się w lokalu „Koła Literackiego“ sześćdziesiąt kilka osób, przedstawiających literaturę, dziennikarstwo, sztukę, i odbyła się na cześć jubilata uczta z serdecznymi wiatami. Pierwszy taki toast wznosił prezes Koła A. Wilczyński z przemową do jubilata. Następnie odezwał się Zacharyasiewicz, dalej dyrektor Skarbek, Kostecki, Belza, Zelazowski i inni.

— O Stanley'u doniósł „Kuryerowi Warszawskiemu“ Leopold Janikowski w liście, pisanym d. 22 grudnia na rzece Boma w Afryce. Stanley znajduje nad rzeką Aruwimi, która jest jednym z prawych dopływów rzeki Kongo. List Stanleya, donoszący o temsamem doszedł do Bruxelli d. 15 Stycznia, a ogłoszony został w *Timesie* d. 16 Stycznia. Stanley pisał go w Sierpniu do Szeika Hamida Ben Mahometa, który jest owym Tippeo-Tibem, tak często wspomnianym przez podróżników europejskich. List ów przyniesionym był przez posłańca Stanley'a do Stanley Falls.

— Po polsku napisaną rozprawę umieścił między innymi, pisanymi w kilku językach na egzaminie konkursowym dla zyskania posady w ministeryum dworu włoskiego, młody, bo dwadzieścia jeden lat liczący, Władysław-Jerzy Kulczycki, doktor obojga praw uniwersytetu rzymskiego *La Sapienza*. W rozprawie tej opisał bardzo barwnie stosunki Włoch i Domu Sabaudzkiego z krajem naszym, wspominając o księciu Eugeniuszu, towarzyszu broni Sioleskiego pod Wiedniem, o Franciszce Krasińskiej pra-pra-babce króla Humberta. Sędziowie konkursowi zatytułowali urzędownie examina Kulczyckiego „prześwietnym“ (Splendidissimo). Ojciec młodzieńca hr. Władysław Kulczycki, był podkomorzem miecza i płaszcza Piusa IX; znany jest dobrze królowi, który powiedział mu raz o jego synach—bo i drugi, starszy, imieniem Kazimierz, jest również doktorem prawa: „Byliście pierwsi pod Wiedniem, więc i synowie twoi muszą być pierwszymi wszędzie, gdzie jest współzawodnictwo“. Kazimierz jest urzędnikiem w prefekturze weneckiej; Władysław został podsekretarzem króla, do którego osoby zostaje przez urząd ten przywiązany.

Sprostowanie.

N. N. „Mały Lord“ tłomaczony był przez p. M. Z. Zalewską z angielskiego. Pewna niejasność stylu w przedmowie spowodowała omyłkę.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ. Księżna Marya Galliera, przez Maryą Ilnicką. — Pogawędka. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Nowiny paryżkie. — Dziennik Zofii Komierowskiej. — Z bieżącej chwili przez Maryą Ilnicką. — Sprostowanie. — Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat. — Przegląd mód. — 32 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 11 Января 1889 года.